

URLOP.

Urlop Jerzego dobiegał końca. Trzy zgórą tygodnie spędził w tem drogiem mu miasteczku tyrolskim, w starożytnym zamku, który przywykł zarówno dziś jak w czasie pokoju uważać za najmilsze sobie ognisko domowe.

Długie trzy lata dzieliły go od chwili, kiedy w taki sam promienny dzień październikowy wchłaniał w piersi ten mocny, ostry i przenikliwy zapach jesieni, bijący ze zmęczonej rodzeniem gleby, skoszonych łąk usychających winnic i mieniących się barwami leśnych gąszczy.

Trzy nieskończone długie lata nie cieszył się krajobrazem, roztaczającym się z okien zamku przed jego rozmiłowanym w ojczyściej ziemi okiem: wijącej się drożyny, przez wąski mostek, wiodącej w górę do rodzinnego gniazda jego serdecznego przyjaciela, toru kolejowego biegnącego w dolinie ku południowym krajom i żeńskiego klasztoru, bielejącego wśród ztełeni na wysokim skarpie górskiej.

Jakże tęsknił za tym skrawkiem Tyrolu, tulając się po obcych stronach! Z jaką radością powitał go, zjechawszy na urlop! Miał wrażenie, że wrócił do ukochanej, która nie robiąc mu wymówek za jego długą nieobecność, przyjęła go z otwartymi rękoma, szczęśliwa, że znów są razem!

Jutro już wciągnie ponownie swój płaszcz żołnierski, by po trzech dniach podróży przez góry, doliny i równie wrócić do towarzyszy z obozowego życia.

Wsunawszy do kieszeni list, który nadszedł pod jego adresem do zamku, gwizdnawszy na psa, zatrzasnąwszy bramę za sobą, ruszył pod górę na ostatni spacer do lasu; sam, przyjaciel jego bowiem miał wrócić z Bożen dopiero późnym wieczorem.

Wspiąwszy się wysoko, zgrzany i zmęczony usiadł na lesistem wzgórzu, skąd oko ogarniało całą okolice. Ach! Jutro już pozguzi ten ukochany zakątek świata, w który wrócił przez ubiegłe trzy tygodnie znów korzeniem!

Zerwał się z miejsca, by wrócić do zamku, dla zwalczania opanowującej go wówczas nostalgii, zagrzebać się w jakiejś ciekawej książce, gdy przypomniał sobie o liście, wyjął go z kieszeni kurtki, i przyjrzał się koperce uważnie.

List, wysłany z Luchichu opatrzony był licznymi stemplami. Przewędrowawszy z kilku urzędów pocztowych, trafił wreszcie do adresata. Charakter pisma obcy...

Wyjawszy z koperty ćwiartkę zapisanego papieru, Jerzy rzucił okiem na podpis i zamyślił się głęboko.

Tak! Pamiętał imię to. Pół roku upłynęło od czasu, kiedy znaczyło „coś“ dla niego. Na wiosnę bawiąc w Belgradzie udał się z przyjacielem pierwszego zaraz wieczora do teatru variete, gdzie tancerka o znanem nazwisku, osiemnastoletnia Bianka, zaproszona na szereg gościnnych występów, wprawiała alabastrem obnażonych swych ramion i mózek zarówno jak i z ar-

tyzmem graniczącym tańcem w nieklamany zachwyty publiczność.

Przyjaciel Jerzego Ryszard, oczarowany, zawarłszy po przedstawieniu znajomość z tancerką, zaprosił ją na kolację, w której wzięła udział oprócz Jerzego, rodzina Bianki, to jest ojciec nieokreślonego wieku i podejrzanej dystynkcji wraz ze starszą córką Lizą, niepozorną na pierwszy rzut oka i prawie że nieładną panną o ciemnej cerze, oczach i włosach — istnem przeciwieństwem jasnowłosej i białoliczej artystki.

Oczywista rzecz, że Jerzy z Ryszardem spędzali odtańca wszystkie wieczory w Variete, po przedstawieniu zaś na wspólnej kolacji z coraz większym gronem wielbicieli talentu i urody Bianki.

Osobliwym zbiegiem okoliczności Jerzy siedział przy stole stałe obok Lizy, która bawiła go opowiadaniem bez końca o ukochanej siostrze Biance, jej dzieciństwie, spędzonym w Paryżu w charakterze uczennicy wielkiej opery, o podróżach do Italji, Anglji, Moskwy, Petersburga i powrocie do Zachodniej Europy przez Szwecję.

Bianka była żywicielką rodziny, podczas gdy ona, Liza, prowadziła dom, regulowała rachunki hotelowe, zawierała umowy z dyrekcjami teatrów, ubierała, fryzowała i rozbierała siostrę, nieznoszącą gardetobiany przy sobie i szyla kostjumy nawet dla niej.

— Czemu Bianka nie podoba się panu? — spytała nagle Liza, przerywając opowiadanie pewnego wieczora.

— Ależ bardzo! — zaprzeczył Jerzy zdziwiony — jest wspaniałą tancerką na estradzie i zachwycająca, najnaturalniejszą w świecie osobką poza sceną.

— Dlaczegoż więc pan mnie asystuje, nie jej?

— Ona i tak jest otoczona, a przytem pani podoba mi się więcej, panno Lizo!

— Nie jesteś pan szczery! — odparła ze śmiechem, uderzając mnie po rękę — powiedz raczej, że nie chcesz mieć rywala!

— Bynajmniej! — podchwycił Jerzy gorąco — pani nie tylko podoba mi się, ale interesuje mnie przytem. Psychika panny Bianki jako tancerki, czyli kobiety oddanej swemu zawodowi, mniej więcej prostolinijna zatem, jest zrozumiała dla mnie, podczas gdy pani wpatrzona jak w cudowny obraz w swą siostrę, zmiatającą prochy przed nią, zamiast pomyśleć o sobie... swojej przyszłości, wyjść zamaż, mieć ognisko domowe, dzieci — pani jest dla mnie zagadką!

— Wyjść zamaż?... — powtórzyła Liza otwierając szeroko oczy — cóżby Bianka zrobiła bez mnie?

— Otóż to właśnie! Pani myśli o niej wyłącznie. A jeśli panna Bianka porzuci pewnego pięknego dnia scenę, wyjdzie zamaż, czy też inaczej pokieruje swem życiem?... Pani bardzo nierozważnie postępuje, poświęcając jej swe młode, bezpowrotne lata!

— Pan nie kocha Bianki!...

— Oczywiście, że nie! Czy to konieczne?

— Naturalnie, że nie! — roześmiała się

— ale ja muszę kochać ją! Nie wyobrażam sobie życia bez niej.

Jerzy zamilkł, wzruszywszy ramionami. Mimo tę rozmowę wszakże lgnął coraz silniej do Lizy, zyskującej bardzo przy bliższym poznaniu i będącej pierwszą kobietą, dla której serce jego zabiło.

To też kiedy Bianka po dwóch tygodniach gościnnych występów miała opuścić z rodziną Belgrad, Jerzy postanowił rozmówić się z Lizą poważnie.

Wiosna była w pełnym rozkwicie. Po ostatnim przedstawieniu w Variete zebrało się na pożegnalną ucztę w prywatnem mieszkaniu Ryszarda i Jerzego.

Po kolacji Jerzy zaprowadził Lizę w głąb ogrodu oświetlonego różnobarwnymi lampionami. Usiedli na niskim murze. Promień księżycy padał na smagłą twarz panny czyniąc ją piękną niemal. Jerzy ujawszy jej dłoń w swoje ręce i patrząc w oczy głęboko oświadczył, że pragnie pojąć ją za żonę.

Liza, pochylwszy ku niemu zarumienioną twarz, przycisnęła wargi do jego policzków, oczu i ust, poczem zapatrzona w piękno tej wiosennej nocy odezwała się cicho:

— Przebac mi, jeżeli zachowaniem swym upoważniłam cię do tych oświadczeń... Ja nie mogę opuścić Bianki, by zostać twoją żoną!

Milcząc, wrócili do towarzystwa. Nazajutrz wieczorem obaj przyjaciele stali na peronie pociągu pośpiesznego, mającego zawieźć Biankę i Lizę z ich zagadkowym ojcem do Budapesztu. Podczas kiedy Ryszard żegnał się czule z Bianką, Jerzy nie odstępował Lizy, ściskając jej rękę nerwowo, ona zaś patrzyła mu w oczy serdecznie i przyjaźnie. Niehawem wagnęły ruszyły. Oficerowie udali się ze spuszczonej głowami do kasyna, gdzie milczący, chmurni i na wszystko głusi, zasiedli przy piwie. Ryszard tylko wymyślał raz po raz kelnerce, jeśli kufel jego stał zbyt długo pusty.

Liza pisała, że pragnęłaby zobaczyć się z Jerzym... Ma żywo w pamięci pobyt w Belgradzie... Poróżniła się z Bianką... Goto wa jest, gdyby Jerzy...

Młody wojskowy przetrzął dłońmi czoło. Ach! Między ową wiosną na obczyźnie, a tą cudowną jesienią tyrolską leży przestrzeń czasu o wiele dłuższa chyba, aniżeli pół roku, skoro uczucie dla Lizy mogło zatrzeć się w jego sercu bez śladu! Jak on mógł myśleć nawet o związaniu swego życia z przygodnie spotkaną kobietą niewiadomego pochodzenia i wątpliwej moralności? — Smutno mu, zapewne, że list Lizy nie więcej zaważył w jego sercu, co zwiędły liść kasztana, który spadając na ziemię, musnął jego dłoń, ale on stoi teraz na pewnym gruncie: te trzy tygodnie urlopu spędzone w rodzinnej ziemi rozpalili w nim zagaśnię we włóczędce po obcych krajach miłość ojczyzny, która mu będzie odtańca puklerzem ze stała przeciwko awanturniczemu planom

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 15 czerwca 1930 roku.

25

Zjazd psychjatrów w Łodzi.



W dniach 7 i 8 odbył się w Łodzi zjazd psychjatrów, w obradach którego wzięli udział liczni przedstawiciele świata naukowego całej Polski. Obrady odbywały się w salach Rady Miejskiej. Wygłoszono szereg poważnych referatów naukowych. W ostatnim dniu zjazdu uczestnicy jego odbyli kilka wycieczek do zakładów psychiatrycznych i szpitala dla chorych umysłowo. Na zdjęciu powyższem widzimy grupę uczestników zjazdu.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81

TEATRALJA.

Sąd nad „Przestępcami“. — Premjery warszawskie. — Sukcesy artystów polskich w Pradze. — Smutne horoskopy dla opery. — Jubileusz „Rycerskości wieśniaczej“.

Główna była przed niedawnym czasem sprawa teatralna, związana z wystawieniem w Wilnie „Przestępców“ Brucknera, sztuki współczesnej, jaskrawej w formie, granej w sezonie bieżącym i w Łodzi. Jak wiadomo, sprawa „Przestępców“ — wobec nakazu zdjęcia ich z afisza ze strony władz adm. stracyjnych — wywołała groźbę dymisji kierownika teatru wileńskiego, dyr. Zelwerowicza, a następnie — rodzaj plebiscytu na specjalnym, „zamkniętym“ przedstawieniu sztuki, plebiscytu, który wypadł dla niej ujemnie. Po takim wyniku, „Przestępców“ zdjęto z afisza definitywnie, mimo dość silne protesty sfer literacko-artystycznych Wilna. W związku z tą dość charakterystyczną aferą, interesującą nas tem więcej, że i w Łodzi opinie o sztuce Brucknera były dość różne, podajemy niżej poważny głos „Słowa“ wileńskiego, które w spokojny i rzeczowy sposób stara się zanalizować sprawę: „Minęły już bezpowrotnie te czasy — pisze m. in. „Słowo“ — kiedy wobec sztuki stawiano wymagania jakiegokolwiek rodzaju: społeczne, moralne itp. Powiedziano w odpowiedzi na te wymagania, że „sztuka jest dla sztuki“ i w równym stopniu myłono się, jak w wypadku żądania funkcji ubocznych od sztuki. Beznamiętny bowiem sąd i obiektywne określenie celów sztuki pozostały niewzruszone: utwór sztuki, dzieło artystyczne ma się objawiać w formach artystycznych, w formach sztuki, i one tylko decydują o wartości moralnej i społecznej tej sztuki. Ze dzieło wysokiej klasy artystycznej zawsze będzie konstrukcyjnym czynnikiem społecznym — chyba nie może ulegać wątpliwości. Zdanie to dotyczy dzieł nawet o t. zw. tendencji...“ Przechodząc następnie do „Przestępców“, „Słowo“ podkreśla, że są oni niewątpliwie „utworem moralizatorskim“ (sumienie powinno mieć prymat przed opinią sędziów), i zapytuje, czy w danym wypadku „forma zespala się z treścią, czy też tendencja sztuki góruje nad jej arcyzmem?“ — I w konkluzji tych rozważań i wątpliwości, uwidocznionych w dość obszernym wywodzie, tak zamyka „Słowo“ dyskusję: „Tendencja nie umiała nas przekonać swą formą artystyczną“, a ponieważ „sztuka teatralna nie jest zwykłą dyskusją, staje się nudną i nieprzekonywującą publicystyką, gdy odpadną walory artystyczne“. Ten „sąd nad „Przestępcami“ sformułowany został, trzeba przyznać, dość trafnie i rozsądnie, chodzi tylko o to, że pomiędzy subiektywnymi sprawdzianami, walorów artystycznych“ sztuki mogą zachodzić poważne różnice, wymagające nowej dyskusji..

Teatr Narodowy wystąpił z letnią, a niedaną — powiedzmy odrazu — premiera, wystawiając tłumaczoną z niemieckiego sztukę R. Goeringa p. t. „Podróż kapitana Scotta do bieguna południowego“. Temat ten, niepozabawiony bohaterstwa pierwiastku, tkwiącego w zdobywczym eposie wiel-

kiego podróżnika i odkrywcy nieznanych krain, nie został nawet zadowalająco wyzyskany przez autora. Sztuka padła beznadziejnie, przy akompaniamencie jedno-myślnych, a bardzo surowych sądów prasy. Oto jedna z opinii, malująca trafnie teatralną bezsilę p. Goering'a. Sztuka „została zatopiona w powodzi banalnych i pretensjonalnych frazesów, w których zupełnie fałszywy patos walczy o lepsze z bakalarsko-pedagogiczną szlachetnością... Wytrzymałość widza dzisiejszego jest bardzo ograniczona, a ludzie dorosli wogóle z trudnością znoszą także „szlachetne“ pouczenia. Nawet w dobrze prowadzonych szkołach średnich i powszechnych unika się dzisiaj takiego bezpośredniego moralizatorstwa, a tutaj od początku do końca każą ci, nieszczęsny widzu, wysłuchiwać kazań o przyjaźni, obywatelstwa, poświęceniu itd...“ Dobry wyko-nawcy ról głównych — pp. Justjan, Szymański, Warnecki, Dulęba i in. — nie zdołali uratować takiej sztuki od upadku, i wogóle dziwić się należy, że podobnie bezwar-tościową ramotę zechciał tłumaczyć poeta tej miary, co Józef Wittlin, a — grać Teatr Narodowy. Nie należy się tedy dziwić, że na jednym z najbliższych po premierze przedstawień „Wyprawy kapitana Scotta“ zabrakło poprostu widzów, gdyż kasa teatralna nie sprzedała dosłownie ani jednego biletu, zaś na widowni było zaledwie kilkunastu „kartkowiczów“.

Daleko fortunniejszą premierą, a ściślej mówiąc — wznowieniem, jest w Teatrze Małym znany „Papa“ de Fiersa i Caillaveta, którzy w pełen finezji, dowcipu i majsterstwa scenicznego sposób opowiadają mi

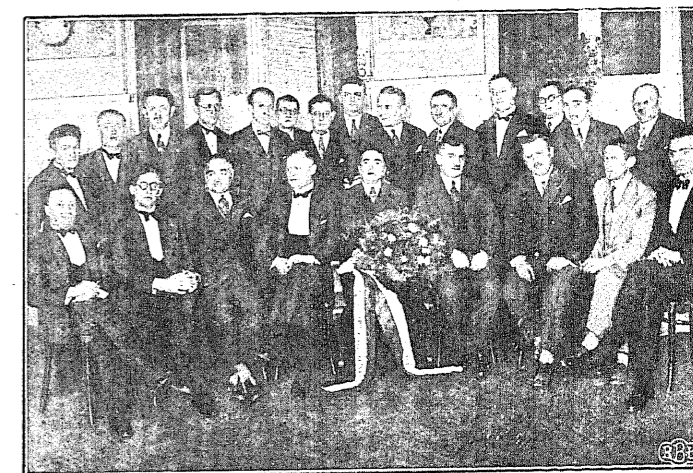
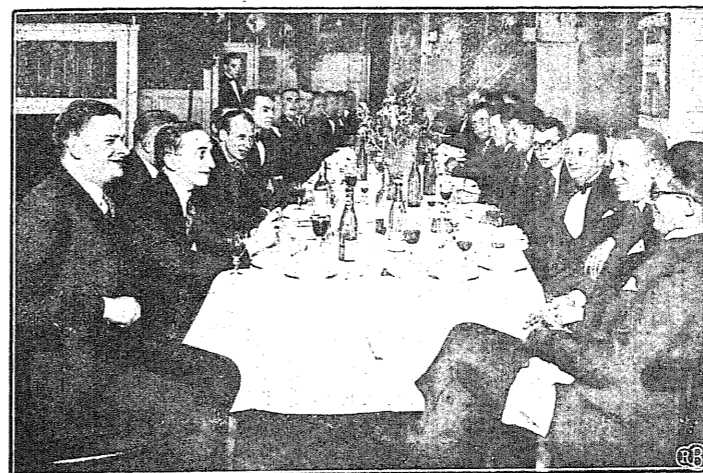
łą historję czarującego, choć nie pierwszej już młodości donżuana - dyplomaty, rywalizującego z całkowitem powodzeniem ze swym przybranym synem o względy uroczej panienki. Świetną rolę w tej zawsze chętnie oglądanej komedji ma Jerzy Leszczyński (hr. de Larzac), obok którego doskonale pełnią swe zadania aktorskie pp. Stanisławski, Fritsche, Daczyński i Romanówna.

gorzej natomiast przedstawiają się sprawy operowe w... Polsce, gdzie w stolicy mó-wi się coraz głośniejsze o „redukcji“ sezonu opery do sześciu miesięcy, a w Katowicach np. zapada już definitywne uchwała o zwinięciu działu operowego w sezonie przyszłym. W związku z tym zamiarem Tow. Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach, artyści tamtejszego teatru zwrócili się do czynników miarodajnych z następującym protestem: „Ze względu na to, że fakt zwinięcia opery katowickiej prawie że w rocznicę masakry opolskiej, a bezpośrednio po wypuszczeniu z powrotem na deski teatru katowickiego opery niemieckiej, uważamy za hańbę i policzek dla naszej dumy narodowej — zespół artystów uchwala zwrócić się do wszystkich czynników miarodajnych, prasy, organizacji i stowarzyszeń oraz społeczeństwa na Górnym Śląsku i w całej Polsce, by zaprotestowały przeciw zamknięciu opery katowickiej. — Sprawa jest istotnie ciężka i przykra, a trudności utrzymania działu operowego, wobec poważnych jego kosztów, wielkie, zwłaszcza ze względu na biorący wszędzie z konieczności górę — kurs oszczędnościowy.

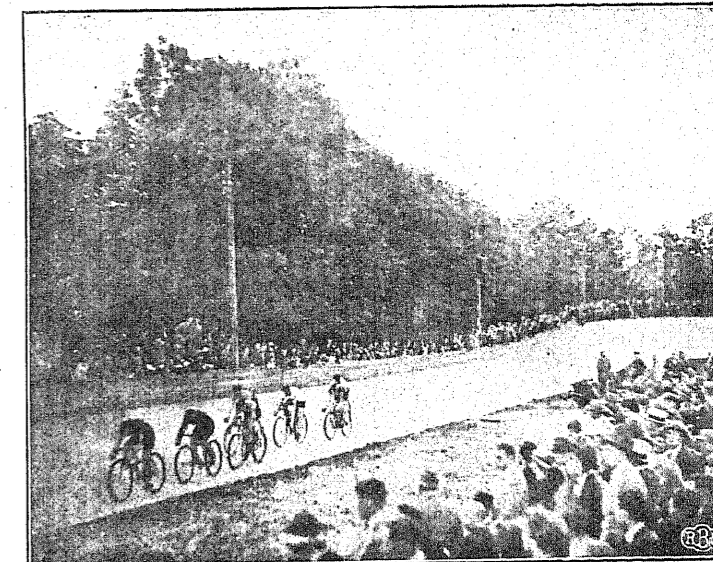
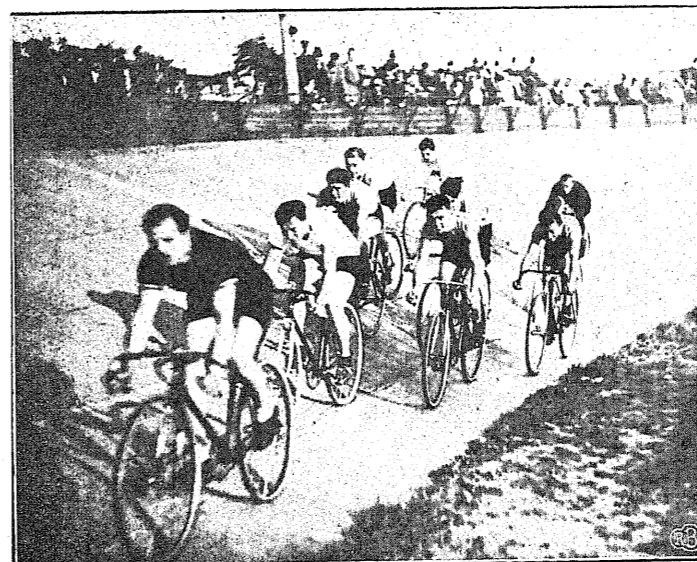
Delta.



„Studjum akwarelowe“ malował art.-malarz Wacław Dobrowolski.



W dniu 9 b. m. święcił jubileusz 15-letniej pracy publicystycznej prezes Syndykatu Dziennikarzy w Łodzi i naczelny redaktor „Kurjera Łódzkiego“, p. Czesław Gumkowski. Był to również jubileusz 10-letniej pracy red. Gumkowskiego w „Kurjerze Łódzkim“. Na zdjęciach powyższych widzimy liczne grono dziennikarzy łódzkich oraz gości z Jubilatą i mecenasem Stypulkowskim na czele na uroczystym bankiecie w „Tivoli“.



W ubiegłą niedzielę odbyły się na torze parku „Helenów“ w Łodzi międzynarodowe wyścigi kolarskie przy licznych udziałach uczestników. Na zdjęciach fragmenty z zawodów.



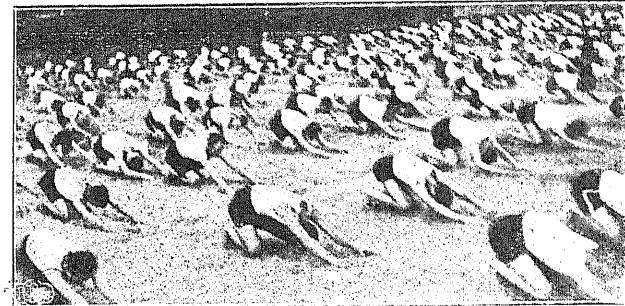
Ognisko Kobięc Z. P. M. P. „Orle“ zorganizowało w dniu 7, 8 i 9 czerwca kurs instruktorski dla kierowniczek Sekcji Kobięcych województwa łódzkiego. Na zdjęciu widzimy grupę uczestniczek z p. Pospieszynską na czele.



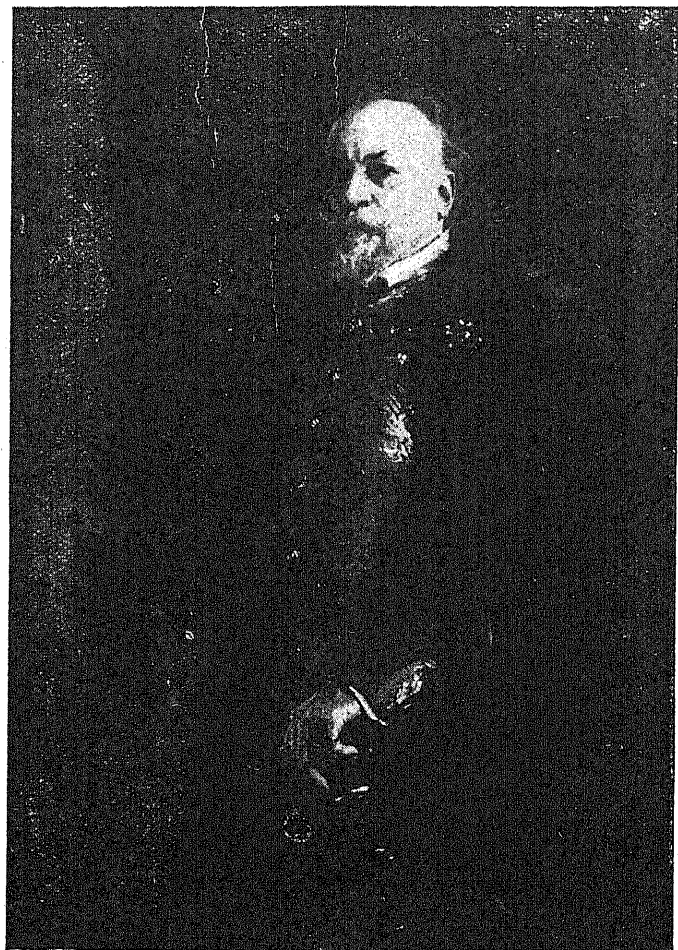
Wkrótce do Łodzi przybędą z Paryża prace mistrzów pędzla i palety art.-malarzy Styków. Dzieła te ujrzy Łódź na wystawie obrazów w Miejskiej Galerji Sztuki. Powyżej widzimy obraz Jana Styki p. n. „Polska Wyzwolona“.



W Łodzi powołana została do życia nowa placówka sportowa. Jest nią Łódzkie Towarzystwo Motocyklowe. Na zdjęciu widzimy delegację Towarzystwa tego, składającą wieńiec na płycie Nieznanego Żołnierza.



Zdjęcie powyższe stwierdza, jak dzieci łódzkie, młodzież szkół powszechnych święciła „Dzień Dziecka“. Był to dzień popisów, gier i zabaw.



Poza szeregiem potężnych dzieł historycznych, poza licznymi pejzażami wystawa prac Styków obfituje w wiele po mistrzowsku wykonanych portretów, jak powyżej widziany portret Ojca



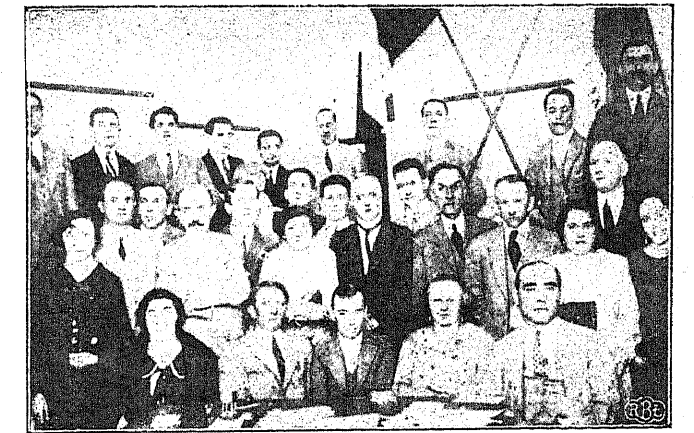
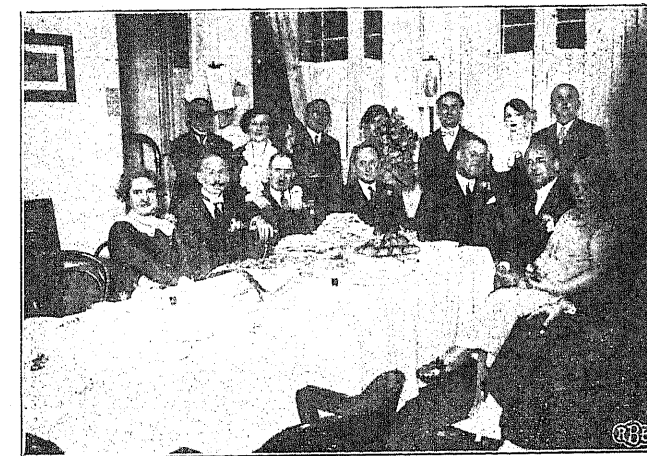
Młodzież żeńska szkół powszechnych daje wyraz swej sprawności fizycznej na ogólnych zawodach w „Dniu Dziecka“ na boisku D. O. K. w Łodzi.



Przemarsz młodzieży żeńskiej szkół powszechnych przez boisko D. O. K., na którym w „Dniu Dziecka“ odbywały się zbiorowe popisy sportowe.



Wielka jest emigracja polska, rozszana nieomal po całym świecie. Niema dziś zakątka na kuli ziemskiej, gdzieby nie było Polaka. Liczna jest kolonia polska w Meksyku. Przewodzi jej łodzianin, prof. dr. Antoni Beździk. Wdzięczni i wierni swej macierzy rozesłali takie oto dowody swego przywiązania Ojcu Św. Piusowi XI, Prezydentowi Rzplitej, prof. Mościckiemu oraz Marszałkowi Piłsudskiemu.



Przedstawiciele kolonii polskiej w Meksyku pracują gorliwie nad krzewieniem ducha narodowego wśród emigrantów. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej uroczyste przyjęcie konsula generalnego w Meksyku, w mieszkaniu prof. A. Beździka, na prawo jedno z dorocznych ogólnych zgromadzeń Stow. Polskiego „Polonja“ w Meksyku, którego założycielem jest dr. A. Beździk.



Łodzianin prof. dr. Antoni Beździk obrońca emigrantów i krzewiciel ducha narodowego na emigracji w Meksyku. Młodzież łódzka zna prof. Beździka jako swego wychowawcę



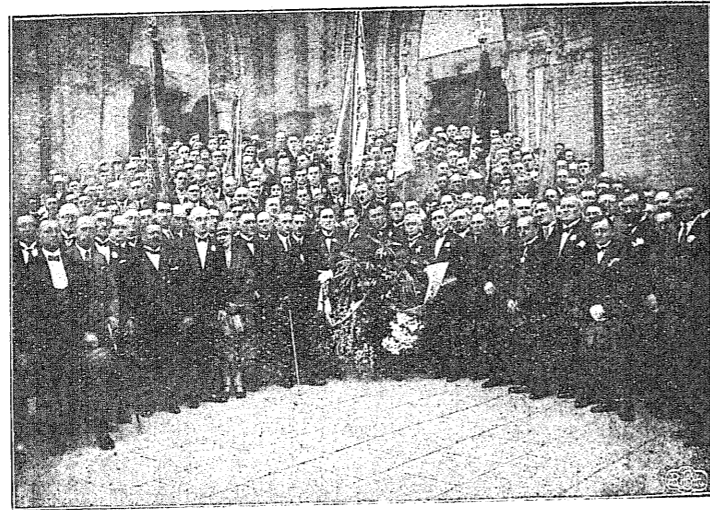
Ołtarzyk w prywatnym mieszkaniu prof. Beździka. Przy ołtarzu tym odbywały się obrzędy religijne w czasie największego prześladowania religijnego w Meksyku.



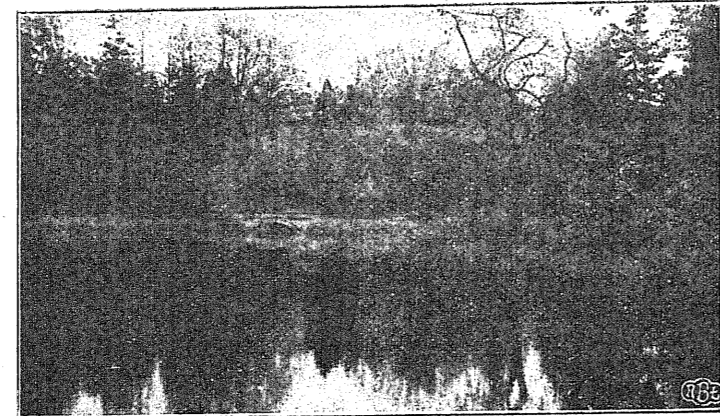
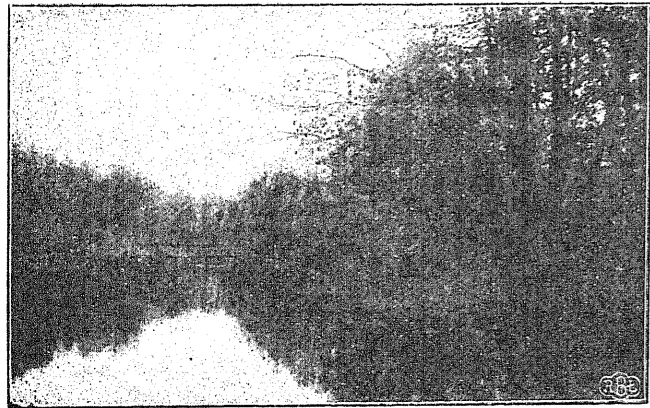
Czołowi przedstawiciele kolonii polskiej w Meksyku z profesorem dr. Antonim Beździkiem na czele.



W Łodzi odbył się zjazd delegatów Stow. Młodzieży Polskiej. Na zdjęciu widzimy delegację z J. E. ks. biskupem dr K. Tomczakiem na stopniach kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej.



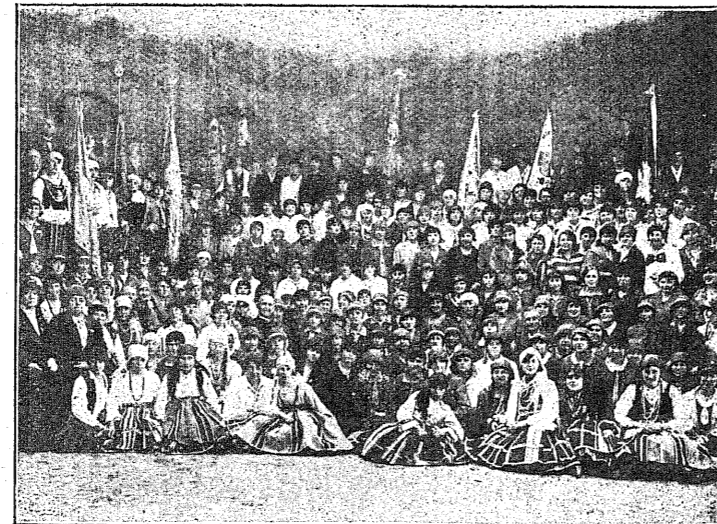
Związek Kolejarzy, Koło w Łodzi, obchodził uroczystość poświęcenia nowego sztandaru. Powyżej widzimy liczną delegację zrzeszeń i korporacji ze sztandarami przed katedrą.



Łódź nieliczne posiada zakątki tak piękne i ustronne, jak park „Juljanów”. Na zdjęciach powyższych widzimy fragment parku tego z zadrzewieniem i pięknym stawem, po przezroczystej tafli którego przesuwają się wiele łodzi, unoszących z sobą żądnych rozrywek i pragnących wypoczynku na łonie natury łodzian.



Zespół chóru mieszanego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Łodzi, który reprodukuje się na wojewódzkim zjeździe towarzystw śpiewających w naszym mieście.



Jednocześnie ze zjazdem delegatów Stow. Młodzieży Polskiej odbył się w Łodzi zjazd delegatek tego stowarzyszenia w lokalu przy ul. Gdańskiej 111. Na zdjęciu powyższym widzimy liczne grono młodzieży.



Fascynujący był obraz filmowy, wyświetlany na ekranach całego świata p. n. „Ramper, człowiek zwierzę”. W filmie tym główną rolę odtworzył z wielkim realizmem i wyczuciem czołowy artysta srebrnego ekranu. Paweł Wegener. Na zdjęciu powyższym widzimy fragment z filmu tego.



Sztuka filmowa w Polsce w ostatnich latach uczyniła duże postępy. Obrazy produkcji krajowej wyświetlane są na ekranach zagranicznych. Duże znaczenie posiada tu sztuka reżyserska. Powyżej widzimy Józefa Lejtesa, jednego z najzdolniejszych reżyserów polskich.



Na ekranie kinoteatru „Casino” w Łodzi wyświetlany był ostatnio z dużym powodzeniem obraz, będący niejako silną propagandą lotnictwa. Obraz p. t. „Skrzydłata flota” dał pełnię zadowolenia kinomanom łódzkim. Na zdjęciu Ramon Navarro w roli kadeta.



Wielką rzeszę wielbicieli swego talentu posiada artystka filmowa, występująca w licznych obrazach filmowych, przednia Olive Borden, którą widzimy powyżej w stroju wieczorowym.

W kraju Burów.

Dzisiaj jestem zgrzybiałą już staruszką. — Ile mam lat jednak, nie powiem wam, prawnuczki moje, bo jak najmłodsza kobieta, mam na tym punkcie bzika... Byłam już w każdym bądź razie na świecie, kiedy ojciec mój w 1838 roku zabrał się wraz z innymi rodakami pod komendą nieustraszonego Pietera Retiefa do karczowania dziewiczych lasów w ziemi Oranje, ciągnącej się po przeciwległej stronie Wielkiej Rzeki.

Chatka nasza sklecona z gliny i słomy przez ojca mego własnoręcznie, stała w pobliżu dzisiejszej kopalni diamentów. Na południu zaś pozostawiliśmy duży i piękny dom, odstąpiwszy go w zamian za dwa wozy, dwa woły z zaprzęgami i garść pieńdzy.

Matka, trzymając nas na kolanach, opowiadała nam często o naszej wspaniałej farmie, kwitnącej winnicami otoczonej, opisując tak obrazowo nasz stary holenderski dom z gontowym dachem i wysokimi stuletnimi dębami wokoło, że mieliśmy go w oczach nieomal, podczas gdy matka ocierała łzy z twarzy ukradkiem.

— Dlaczego opuściliśmy go, by zamieszkać w tej chałupie? — spytaliśmy, podrosłszy.

— Jesteśmy narodem wolnym! — odparła matka, prostując się dumnie i patrząc na nas roziskrzonym wzrokiem.

— Skoro tam, na południu, wśród bogactw i urodzajnej ziemi niema dla nas wolności, musimy szukać jej po drugiej stronie Wielkiej Rzeki, gdzie władza Anglika nie sięga! Hańba tym, którzy wyżej cenią dostatek i wygodę nad wolność swego narodu!

Były to czasy niespokojne i niebezpieczeństw pełne. Pieter Retief wraz z siedemdziesięciu równymi sobie śmiałkami, odłączając się od gromady i zbyt daleko zapędzwszy — aż do „Kraalu“ Dingana króla Zulusów przypłacił wraz z towarzyszami odwagę swą życiem.

Nasze osiedla stały w pobliżu ziem Kafrów, znanych pod nazwą Basuto, lecz żyliśmy mimo to z bożą pomocą długich lat spokoju.

Miałam szesnaście lat, kiedy na wspólnym nabożeństwie, organizowanym w trzy miesiące przez wszystkich farmerów poznałam właściciela niewielkiego folwarku, młodego Jana du Pre, którego energiczny i dobry zarazem wyraz twarzy chwycił mnie od pierwszego wejrzenia za serce. To też nieklamanej doznawałam radości, gdy wkrótce potem złożywszy nam pierwszą wizytę, odwiedzał nas coraz częściej, zalecając się do mnie wyraźnie. Ilekroć ujrzałam go żądającego ze wzgórza na swym wierzchołku w bluszczowej uprzęży, serce skakało mi w piersi.

Kiedy wszakże świeżo z południa przybyli Koos van Aswegen, nabywszy sąsiadującą z nami, nad brzegiem rzeki położo-

na, dużą i piękną farmę oświadczył się rodzicom o mnie, ulegając ojcu wyszłam za niego zamaż, zadając bolesny cios najlepszemu i najszlachetniejszemu z ludzi. Wkrótce po ślubie przekonałam się, niestety, że życie moje u boku tego bogatego człowieka nie będzie różami usłane.

Koos van Aswegen, jako mąż dopiero co kazał mi prawdziwe swoje oblicze, swój zamknięty w sobie, uparty i gwałtowny charakter. Jedynym celem jego w życiu było ciulanie grosza.

Nie zważając na moją młodość, zmuszał mnie do całodziennej pracy, na skutek czego wychudzona jak szkielet, wyglądałam bardzo blade i mizernie. Taką zobaczył mnie w parę miesięcy potem na nabożeństwie Jan du Pre. Rzuciwszy pełne gniewu spojrzenie na mego męża, — oddalił się, nie zamieniwszy ze mną słowa.

Po roku przyszła na świat córeczka moja Mina, która mi była odtąd jedynym jasnym promykciem w życiu.

Miała cztery latka, kiedy Jan du Pre zawiadł się u nas niespodzianie ze złowrobną wieścią: Kafrowie liczną gromadą przekroczyli granicę, opanowując nasz kraj i niszcząc wszystko po drodze. Poruczono Janowi du Pre ostrzec wszystkich farmerów o niebezpieczeństwie i zalecić im, aby uciekali nie zwlekając do wioski J., gdzie kobiety i dzieci znajdą przytułek, mężczyźni zaś broń i amunicję dla odparcia wroga.

— Bóg z wami! — zawołał Jan du Pre na pożegnanie, rzuciwszy okiem ku mnie i popędził do następnej farmy.

— Tchórze! — zagrział Koos van Aswegen za nim. Ja mam opuścić moją farmę? Oddać ją czarnym psom na pastwę? Moje bydło? Moje owce? Moje uprawne pola?

— Co to znaczy? — spytałam, blednąc.

— To znaczy, że zostajemy na miejscu! Z pomocą kilku tubylców, których mamy na służbie, dam sobie radę z murzynami!

Daremnie błagałam, by uciekał copędzej ze mną i dzieckiem. Klnąc na czym świat stoi, trwał uparcie przy swoim postanowieniu.

Czas naglił. Milcząc, udałam się w stronę rzeki, gdzie Mina bawiła się wilgotnym piaskiem w ulubionym swoim miejscu, przy korycie rzeki, doszczętnie omal w owej porze roku wyschniętem.

— Dokąd? — krzyknął mój mąż.

— Po dziecko — odparłam spokojnie, oddalając się od domu powoli. Skoro jednak tylko znikłam mu z oczu, pobiegłam co tchu w piersiach na brzeg rzeki i uchwyciwszy Minę na ręce, rzuciłam się z mym drogim ciężarem do ucieczki, zmierzając we dług wskazówki Jana du Pre w stronę wioski J.

Ale córeczka moja była dużym i tłustym dzieckiem, ja zaś wątłą i pracą fizyczną wyczerpaną kobietą. Na pierwszym więc zakręcie postawiłam ją na ziemi, mówiąc:

„Czarni Kafrowie chcą nas zabić; uciekajmy, kochanie!“

Skinawszy główką, biec zaczęła co sił miała w swych drobnych nóżkach.

Po kilku chwilach jednakże, zmęczona, musiałam wziąć znów ją na ręce.

W połowie drogi dopiero opamiętawszy się, że biegnąc brzegiem rzeki po wilgotnym piasku, zostawiam trop po sobie, zeszłam wylekniiona na kamieniste koryto, gdzie ostre kamyczki kaleczyły mi nogi i co krok niemal potykałam się o nie.

Nagle... ciężkie, rytmiczne stapania doszły moich uszu... Ścigano nas! Szepcząc: „Boże, zmiłuj się nad nami! Boże, ukryj nas!“

Wlokłam się noga za nogą i jak gdyby w odpowiedzi na moje błagania ujrzałam tuż przed sobą jedną z tych pieczar znanych w naszym kraju pod nazwą „donga“, przez które wody ze wzgórz spływają do rzeki... Nie namyślając się, weszłam z dzieckiem do wnętrza.

Ściany „dongi“ były strome i gładkie. Dojrawszy w jednej z nich małą w gęstwinie zielska ukrytą odnogę, wsunęłam w nią Minę, poczem wślizgnęłam się sama za nią, gotowa zatkać dziecku usta, w razie gdyby miało rozplakać się ze strachu.

Niebawem usłyszałam głosy i kroki zbliżające się ku „dongi“, Mina Bogu dzięki zasnęła mi na kolanach. Przez zieloną firankę ujrzałam kilku Kafrów w pieczarze, rozglądających się po niej. Jeden z nich zatrzymał się o pięć stóp od mojej kryjówki.

Czy nie usłyszysz równego i głębokiego oddechu dziecka?... — zadawałam sobie pytanie, czując wszystką krew zbiegającą mi do serca, podczas gdy barbarzyńca stał jak gdyby zastanawiając się, gdzie mógł się podziać zbieg, za którego tropem szedł do tych czas, poczem wraz z innymi wyszedł z „dongi“.

Kiedy kroki oddalających się ucichły, wysunąwszy się z mej kryjówki, wyjrzałam za nimi. Dziesięciu Kafrów z wniesionymi do góry oszczepami szło w kierunku wioski J... Zginęłam więc! Miałam wrogów przed i za sobą, a w pieczarze tak duszno, że niesposób w niej było pozostawać dłużej...

Nagle rozległ się wystrzał. Po nim drugi... trzeci! Cała salwa wreszcie. Szła od strony wioski J...

— Nasi! Nasi! — szepcząc radośnie, chwyciłam dziecko na ręce, wybiegłam resztą sił z dongi i ujrzałam Kafrów uciekających w popłochu przed zwartym szeregiem białych jeźdźców. Krzyknęłam na cały głos, kiedy mijali mnie. Obejrzałam się. Dowódca ich... Jan du Pre... zbawca mój i mego dziecka przycwafował... i nie wiem, co się potem stało, bo wróciłam do przytomności w wiosce J... dopiero w otoczeniu rodaków.

Dowiedziałam się niebawem o losie mego męża; znaleziono go bowiem na podwórzu naszej farmy w okrutny sposób zamordowanego.

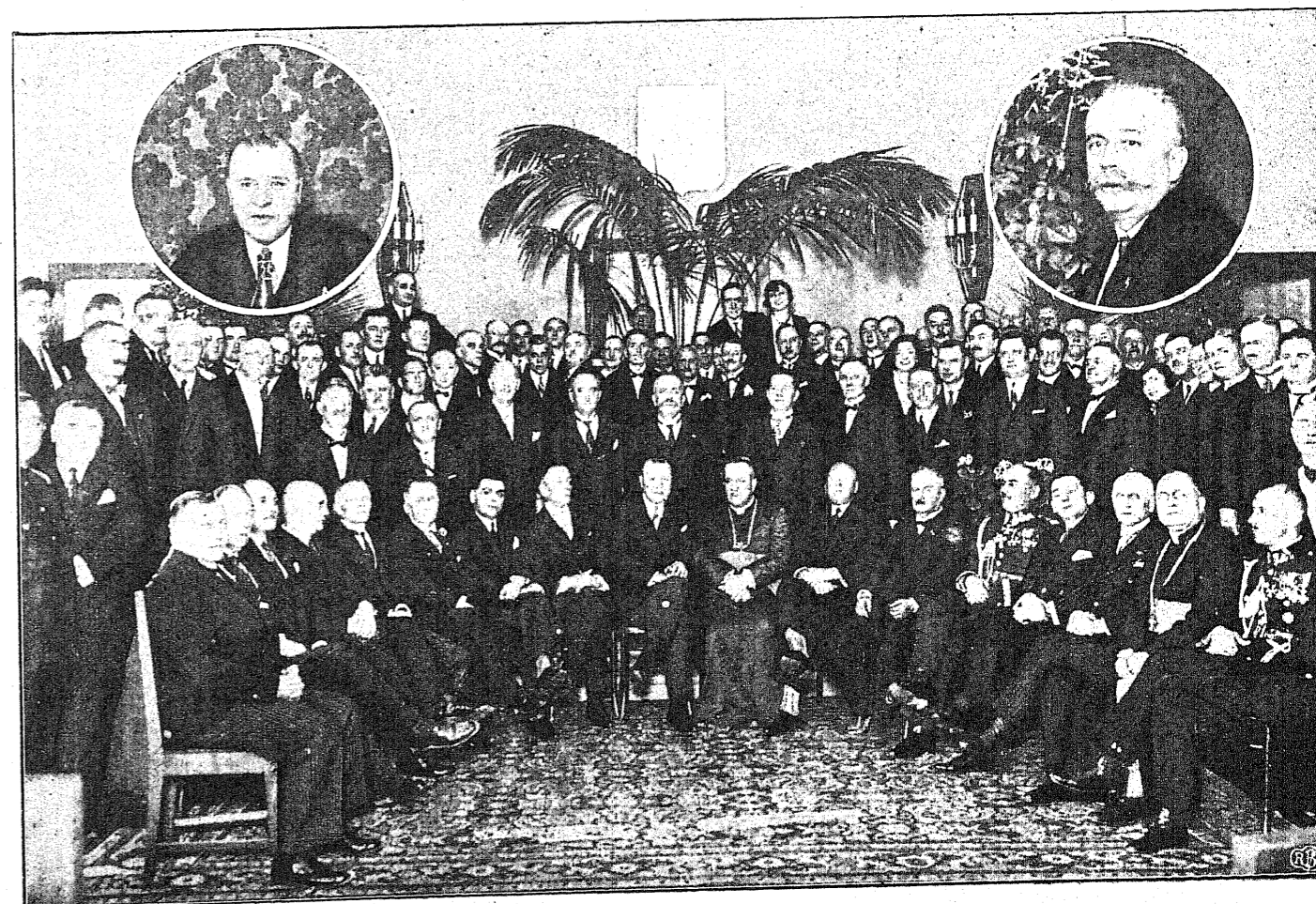
W rok potem zostałam szczęśliwą żoną Jana du Pre, ale farmę po Kocsie van Aswegen, noszącą do dziś dnia nazwę Aswegens-Hoek — sprzedałam!

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Święto Sądownictwa w Łodzi.



W dniu 14 b. m. sądownictwo łódzkie witało w murach naszego miasta wysokiego rzecznika wymiaru sprawiedliwości, p. ministra Cara, który przybył na uroczystość poświęcenia olbrzymiego, monumentalnego, nowego gmachu Sądu Okręgowego, wybudowanego za prezesury p. Stefana Belżyńskiego, prezesa S. O. w Łodzi. Gmach ten stanął przy zbiegu ul. Narutowicza i Placu Dąbrowskiego. Rozmiarami swymi i wewnętrznym wykończeniem oraz efektywnością zewnętrzną stał się pięknym gmachem reprezentacyjnym. Na zdjęciu powyższym widzimy niezmiernie licznych przedstawicieli sądownictwa, palestry i władz z J. E. ks. biskupem Tymienieckim, p. min. Carem i p. wojewodą Jaszczoltem na czele w jednej z obszernych sal nowej siedziby Sądu.

Fot. A. Meyer.